N^er 40. Kraków, 7^go Października. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. . a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

NIEWIASTA.

„*Nie jest dobrze człowiekowi być samemu, uczyńmy mu pomoc podobną jemu.*“ Taki był najmędrszy wyrok najmiłościwszego Ojca naszego w niebiesiech, którego wszechmocnem słowem pierwsza matka rodu ludzkiego do życia powołaną została, jako „*kość z kości, i ciało z ciała*“ pierwszego człowieka.

Niewiasty więc powołaniem jest być pomocą mężowi, być dozgonną, najwierniejszą towarzyszką życia jego, podzielać jego dobrą i złą dolę, nieść mu ulgę w cierpieniach, osładzać gorzkie życia jego przejścia.

Ona przyjmuje jego nazwę, jego stan, jego dobry lub zły los, staje się drugą połową istnienia jego na ziemi.

Niemówię, iżby to jej jedynem i niezbędnem było przeznaczeniem. Może ona jako dziewica, jako wdowa, w ogóle odrębnie od drugiej połowy rodzaju naszego, zaszczytnie i użytecznie służyć ludzkości, a nawet królestwu Bożemu. Może zbawić duszę, zyskać łaskę i zasługę u Boga, a sławę i wdzięczność u ludzi. Kościół święty w takim razie w szczególniejszą bierze ją opiekę, a duch Ewangelii wskazuje jej wznioślejszą jeszcze, jak w małżeństwie, chrześciańskiej doskonałości drogę.

Atoli zawsze to w rodzie ludzkim stanowić będzie wyjątek, który samejże zasady czyli reguły zaprzeczyć nie może. W zasadzie niewiasta stworzona jest, aby być żoną, matką.

Przeto błędne to jest pojmowanie rzeczy, jeżeli dziewica mniema, iż to jej godności ubliża, jej sumienie niepokoi, religijności na zawadzie staje, wejść w związki małżeńskie. Jeżeli małżeństwo ma za coś zbyt światowego, i zaledwo z religią zgadzającego się. Niech wie, iż obowiązki małżeńskie i macierzyńskie wielce są święte, czcigodne i wzniosłe, i niech nie lekceważy sobie, co Bóg uczynił „*wielkim sakramentem w Chrystusie i w kościele.*“

Od woli jej zupełnie zależeć powinno, rozrządzać swym losem. Ale jeżeli Bóg tak zrządza okoliczności, iż te niejako stanowią wezwanie jej do obowiązków małżeńskich, natenczas z świętą pokorą i poddaniem się woli Ojca niebieskiego, na wzór Maryi, rzec powinna: „*Oto ja służebnica Boga mojego, niech mi się stanie według słowa jego.*“

Małżeństwo, wielkim jest sakramentem. W upadku bowiem rodu ludzkiego, w jego grzechowem zepsuciu, jest małżeństwo najmiłościwszem rozrządzeniem Bożem, które umożebnia, przez stopniową naprawę i wychowywanie ludzkiego plemienia, przyszły rozwój i ostateczne zwycięztwo królestwa Bożego.

Niewiasta pielęgnuje w swem istnieniu przyszłe panowanie prawdy, sprawiedliwości, wolności i doskonałości, a w potomstwie jej mają stanąć do walki z wężem piekielnym i zwolennikami jego ci, których Bóg powoła i zaszczyci, by pod sztandarem i przewodnictwem Chrystusa i posłanników jego stanęli na karku zwodziciela i gnębiciela rodu ludzkiego, który „*jest kłamcą i mężobójcą od początku*“, jak mówi Zbawiciel, i zniweczyli jego przemoc nad ludzkiem plemieniem.

Zaiste wielka zacność i szczytne powołanie niewiasty, matki! Wielka wzniosłość małżeństwa i obowiązków jego!

Mężczyzna to teraźniejszość, niewiasta to przyszłość rodziny, narodu, kościoła, ludzkości całej!

X. W. Serwatowski.

KLAUDYNA POTOCKA.

Szlachetność serca, miłość kraju i ludzkość, oto trzy najdrogocenniejsze przymioty człowieka, któremi za życia zasługuje sobie na powszechną cześć i szacunek, a po śmierci wpisuje się w sercach ziomków swoich nie wygasłą pamięcią, nie zachwianą wdzięcznością za wzór, jaki w swoim żywocie potomności pozostawił. Największym zasługi pomnikiem jest pamięć u potomności. Przykład wielkiej duszy godzien jest takiej pamięci, godzien takiego pomnika. Buduje on daleko więcej, niźli najsilniej wypowiedziane słowo o cnocie i szlachetności. Starożytne przysłowie stwierdza prawdę naszą, gdy mówi: „*Przykłady pociągają za sobą— słowa wzruszają tylko.*“ Więc też obowiązkiem naszym z przeszłości wyszukiwać jak najwięcej przykładów i wzorów takich, które by nas pociągnęły za sobą w ten świat świętości, w którym zacni żyli — obowiązkiem naszym czytać z całą miłością i wiarą w wielkiej księdze naszego narodu, i każdą cnotą dla cnoty dać się pociągnąć, każdym szlachetnym czynem natchnąć swe serce do czynów szlachetnych. Dzięki Bogu nie możem się uskarżać na brak podobnych wzorów! Owszem, na każdej niemal karcie księgi dziejowej naszej znajdujemy wielkie jakieś i drogie naszemu sercu imie, które zasłużyło sobie na taki najdroższy pomnik w sercach spółziomków. Imieniem też takiem jest niezaprzeczenie Klaudyna Potocka, prawdziwy wzór miłości swego kraju i poświęcenia się bez granic dla bliźnich. O jej życiu podamy tu krótkie wspomnienie.

Klaudyna z Działyńskich Potocka, córka wojewody Ksawerego Działyńskiego, urodziła się 1802 r. w Kurniku w Wielkopolsce, dzisiejszem Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Urodziła się w tej części naszego kraju, która, pod podstępnym i wrogim dla katolicyzmu rządem pruskim, bolesnej doświadczała doli. Uczucie rodziców, troskliwem i chrześciańskiem wychowaniem, wprowadziło serce młodego dziewczęcia na najpiękniejszą drogę żywota, drogę, która każdego człowieka do celu doprowadzić zdoła, to jest, na drogę wiary i pracy. Maleńka jeszcze Klaudyna największy już w swej duszy uczuwała pociąg do modlitwy i nauki.

Modląc się, pracowała na łaskę Boga; pracując, modliła się na chwałę Jego wielkości. I między te dwa najpiękniejsze zajęcia się duszy czystej — młodość Klaudyny rozdzielona, płynęła szybko i spokojnie, jak płynie strumyk, niczem nie zamącony, po skale, szemrzący tylko wśród cudów przyrody cichą modlitwą na cześć Stwórcy. I rzeczywiście szybko przeminęły dni wiosennej rozkoszy Klaudynie. Wiary jej świętej nie zamącił niepokój nieufności, nauki jej nie przerwała żadna światowa ponęta, wabiąca tak silnie młode dziewicze serca ku sobie. Postępowała też Klaudyna w naukach znakomicie. A gdy coraz więcej zdobywając wiedzy, pragnienia jej wyższych nauk, nic pod rządem pruskim, (który dbał oto właśnie aby jego poddani najmniej umieli) zaspokoić nie mogło — rodzice Klaudyny postanowili dla dalszego jej ukształcenia przenieść się do Paryża. Wielka ta i bogata stolica zachodu nie wywarła jednak na młodociany umysł Klaudyny tego zgubnego wpływu, jakiemu ulegając wielu z naszej młodzieży, daje się porywać falom zapomnienia o powinnościach swoich, szczęście chwilowe za najwyższe poczytując szczęście. Klaudyna, w Paryżu znalazłszy dla siebie podostatkiem żywiołu, zaspakajającego jej pragnienie nauki, korzystała z niego jak najsumienniej. Pyszne i świetne salony Francyi nie zdołały blaskiem swoich świecideł olśnić jaśniejszej od nich, bo pełnej cnót i wiary, duszy Klaudyny. Ona za granicami swojego rodzinnego kraju nietylko nie zapomniała o nim, nie tylko w sercu miłości swej dla niego nie oziębiła — ale owszem tęsknotą za nim, tęsknotą za rodzinnym zakątkiem rozgrzewała ją coraz bardziej. I jakże z takiem szlachetnem usposobieniem mogłaby uledz wpływowi zimnego przepychu i zabawy, czczej i beztreściwej etykiety salonowej; jak mogłaby uledz ponętom pozornego blasku, mając w swem sercu niewygasły ogień tak potężnego uczucia i tak drogocennego skarbu, jakim jest miłość ojczyzny?! Nie było o to obawy; rodzice Klaudyny ze łzą rozrzewnienia w oczach patrzyli się w swoją piękną latorośl, która choć przeniesiona z rodzinnej gleby, potęgą wewnętrznego życia, jakie w nią tchnął Stwórca świata — nie więdła, nie schnęła, ale owszem tak pięknie i uroczo się rozwijała. Gdy już czas nauk, przez rodziców Klaudynie wyznaczony, przeminął, postanowiono powrócić do Wielko-Polski.

Można sobie wyobrazić z jaką radością przyjęła Klaudyna wieść o powrocie do domu. Kto tylko miał sposobność opuścić, choć na czas krótki, ojczystą swą ziemię, ten pojmie ile szczęścia, ile rozkoszy rodzi się w tej chwili w duszy, gdy mu zwiastują powrót do kraju. Znając już po części szlachetne serce młodej Klaudyny, pojmiemy zapewne co się wtedy w niem działo. A im bliżej domu, im bliżej rodzinnej zagrody, tem silniej serce uderza, tem większe szczęście i rozkosz człowieka. Tak samo było z Klaudyną. Upojona radością powrotu do kraju, z jakąż miłością rozpoznawała te wszystkie, choćby najdrobniejsze przedmioty, które ją w dzieciństwie otaczały? Nie obce takie uczucia nam... nie potrzebujemy się nad niemi zbytecznie rozwodzić.

Po powrocie do Wielko-Polski, Klaudyna oddawała się bez ustanku naukom. Nie jednej też rówienniczce swojej była już wtedy wzorem i zachętą do pracy. A zapał ten jej do nauk tem więcej na uwagę zasługuje, że Klaudyna, obsypana od losu dostatkami, nad wiarę w nie, nad miłość dla nich — tak łatwo w młodych rodzącą się sercach — przenosiła dostatki i bogactwa ducha.

Łatwo też każdy odgadnie, jakiem szczęściem, jakim skarbem była Klaudyna dla swoich rodziców. Oni bowiem, sami szlachetni i rozsądni, za największe szczęście człowieka poczytywali, co ukochała ich córka, czemu lata swoje młodociane poświęcała.

(C. d. n.).

Ustęp z pieśni

DO BOGARODZICY,

przez

KAROLA BALIŃSKIEGO.

O Królowo nasza święta,
Dotąd przez świat niepojęta!
W głębokiej, gorącej skrusze
Składamy ci serce całe
Na prawdziwą Twoją chwałę —
Serce, to jest całą duszę,
Wszelką myśl, wszelkie dążenie,
Całą miłość i pragnienie.
Tobie, Duchowi Twojemu,
Twemu Słowu przedwiecznemu,
Temu Niebu prawdziwemu,
Które Duch Twój przyniósł światu
Z Przedwiecznego Majestatu;
Słowu, które wspólnie z Synem
Wypełniłaś życiem, czynem —
I Niebo przybrało ciało,
A ciało niebem się stało.

Ślubujemy Ci Królowo!
Czynić wszelkie wysilenie,
Aby każde Prawdy słowo
Miało od nas uwielbienie:
Bo Prawda, to Ty przeczysta,
Ty, Światłości wiekuista!

Więc na każdy połysk prawdy,
Bez względu przez kogo świeci,
Ślubujem ci wszędzie, zawdy
Zatrzymać się całym duchem,
Aż duch w sobie płomień wznieci
I niebieskim zadrgnie ruchem;

Aż ten święty ogień ducha
Przejmie ciało, jakby płynem,
Wskróś przeniknie, w żar rozdmucha,
I wybłyśnie słowem, czynem;
Tak Prawdę w ciało obleczem,
Niebo stanie się człowieczem.

Bo w każdej Prawdy kruszynie,
Twój to świeci blask jedynie;
Każdy jej promyczek złoty,
To cząstka Twojej istoty,
Cząstka nieba, o Królowo!
Boża Myśli! Boże Słowo!

Bo tylko w takiej ofierze
Ducha, i ciała, i czynu,
Powtarzanej w życiu całem,
I przez takie tylko boje
Zstępuje Królestwo Twoje,
Prawda życie ziemskie bierze
I Niebo staje się ciałem,
Jak stało się w Twoim Synu,
I w Tobie Polska Królowo,
Boża Myśli! Boże Słowo!

Ślubujem ci Matko święta,
Że na wszelki objaw czucia,
Bez względu kto je okaże,
Zawsze rwać będziem te pęta,
Te lodowate okucia,
Którym świat stawia ołtarze;
I każdej czucia iskierce,
Choćby w najlichszem stworzeniu,
W zamian damy całe serce,
Choć w pragnieniu, choć w westchnieniu.

Boć najlichsza jętka w świecie,
I ta jeszcze Twoje dziecię!
Od robaczka do człowieka
Równie czuwa Twa opieka,
I przed Twojemi oczyma
W dzieciach Twych różnicy niema.
Świat ci pyłkiem, pyłek światem,
Robaczkowi człowiek bratem.

W równej miłości i cenie
Wszelkie u Ciebie stworzenie,
I w każdem uczuciu zgoła
Twój to głos o miłość woła!
W najmniejszej czucia iskierce
Twoje to goreje serce!

Kto najmniejsze czucie ziębi,
Ciebie on rani do głębi;
Kto czucie czuciem nagradza,
Niebo na ziemię sprowadza,
Cząstkę Ciebie o Królowo!
Boża Myśli! Boże Słowo!

Więc każdej czucia iskierce,
Choćby w najlichszem stworzeniu,
W zamian damy całe serce,
Choć w pragnieniu, choć w westchnieniu.

Przeczysta Matko Dziewico!
Najświętsza Boga Rodzico!
Przyjm ten ślub złożon w pokorze—
I tak nam dopomóż Boże!

W takim ślubie, w wocie takiem,
W takiej służbie i wierności
Polak wstanie znów Polakiem,
Prawdziwym wodzem ludzkości.
Więc w kim polskie serce bije,
Niech tak uwielbia Maryję!
Nie kadzidłem, nie bursztynem,
Nie z wosku sercem ulanem,
Ni ze srebra, ni ze złota,
Ale życiem nieskalanem,
Ale duchem, ciałem, czynem,
Przez cały przeciąg żywota.

—

Taka Maryi cześć należy,
Takich Marya chce żołnierzy,
Takich jedynie czcicieli
Za swych uzna hołdowników,
I niewesprze marzycieli;
Ale prawdy wojowników,
Tylko takim Pośredniczką,
Matką jest, Orędowniczką
Wspomożeniem, Pocieszeniem,
Życiem, niebem i zbawieniem.
Królowo nieba i ziemi,
Dopomóż nam być takimi!

W takim ślubie, w takiej zbroi,
Połączeni węzłem bożym,
W tej sprawie życie położym:
Bo tym ślubem Polska stoi —
Tą miłością czynną, żywą,
Taką Maryi czcią prawdziwą;

Takim ślubem daj nam Panie!
Połączyć się z ...... całą,
A umarła z grobu wstanie,
Jak na gody z szatą białą,
Twoją wolę miłująca,
Twoje słowo spełniająca,

Twoim ogniem wybielona,
Twoją prawdą uwolniona.
Tak nam pomóż, o Królowo!
Boża Myśli! Boże Słowo!

O! polska Królowo! my dzisiaj czujemy
I Ciebie, i ogrom Twych łask —
I ślepi widzimy, i głusi słyszymy,
Wzniesieni przez prawdy Twej blask.

O Matko! za ręce nas wzięłaś jak dziecię,
I wiedziesz rozbitków pod dach —
Pokrzepiasz, ogrzewasz, ośmielasz, my przecie...
Och Matko! my trwożni... nam strach!

Nie obelg, potwarzy, nie żółci światowej,
To kielich za Polskę, to miód!
Nie wrogów, to bracia! — nie drogi cierniowej;
Lecz żeby niezasnąć, jak wprzód!

I żeby niezziębnąć w tej świata lodowni,
Gdzie wszystko wymroził już jad —
I żeby nam z oczu w tej fałszów pracowni,
Niezniknął Twój świecznik, Twój ślad!

Tak jasny, tak łatwy wskazujesz ratunek,
Że zda się dość zachcieć, by był;
Lecz łaska im większa, tem cięższy rachunek,
A znamy nędzotę swych sił!

Więc żeby łask tyle nieprzeszło znów marnie,
Dla złości, co ciągle w nas trwa,
O! pomóż do końca dosłużyć ofiarnie,
I spełnić, co spełnić się ma!

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE *),

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

I.

Krótkie słowo, niby expozycya powiastki.

Rzecz się więc dzieje na wsi — tem bardziej się upieram przy niej, że miasto mając więcej jednostajności form zewnętrznych, pod któremi się człowiek łatwo schować może, nie daje tyle od razu rozmaitości charakterów i życia, a przynajmniej potrzebaby dopiero dobrze szperać w duszach tych ludzi kłaniających, śmiejących się, a nawet prawie mówiących jednako. Na wsi zaś, brat szlachcic nie tyle się hamuje z swemi uczuciami, nawyczkami, z swojem słowem, a życie domowe — jakoś płynie swobodniej, weselej, a mianowicie pobożniej. Na wieś jedzie każdy oddychać piersią i myślą, marzyć, dumać i patrzeć w niebo; w mieście nie dadzą oddychać gaz i węgle, nie da ci w niebo patrzeć niski pułap, a jeżeli jest wysoki to spojrzawszy w niego widzisz nie dzieło Stwórcy, ale pokojowego malarza, który ci znów przypomina rzemiosło i rzemieślniczość, a więc brak swobody i poezyi. Na wieś więc wiozę was czytelniczki — i to w porze, kiedy łany zboża chylą się pod ciężarem złotych chlebodajnych kłosków, kiedy polny kwiat, zwilżony rosą, drga jakby po przyjęciu pocałunku kochanki, i kiedy ciepły wietrzyk zwiewa bujny kruczy włos z czoła uroczej dziewicy. Lecz powiozę was najprzód do dworu wielkiego, wspaniałego, uderzającego kolumnadą pyszną frontową, wysokiemi oknami, piętrem i herbem wyrytym na samym szczycie wysokiego dworu. Jestto rysopis zwykły tych domów, budowanych stereotypowo — a mających przypominać bogatym właścicielom miasto, którego nie mają u siebie. Obok dworcu zwykłe gospodarskie budynki, tutaj bardzo symetrycznie obok siebie poustawiane, a uderzające niezwykłą cichością, bo nie było widać żadnego ochoczego Krakowiaka przed stajnią, ani zgrabnej dziewoi niosącej kubeł do krowiarni, ani nawet sztywnego angielskiego berajtera. Jakby makiem zasiał, widać że tam jakaś energiczna ręka skąpo czas wydzielała, każąc sobie z niego ścisły zdawać rachunek. Na gazonie przed dworem igrały dwa wyżły, które ścigał mały chłopiec w herbowej liberyi, w samej zaś kolumnadzie siedział jegomość z fajką w ustach, w poręczowem krześle i czytał francuską gazetę — powiadamy francuską. Siedział i sylabizował prawie, powtarzając sobie półgłosem całe okresy, jakby się chciał nauczyć czy stylu francuskiego, czy subtelnej polityki zagranicznej. Raptem położył gazetę, krzyknął: Antek! Chłopiec przybiegł i cały drżący wpatrzył się w niebardzo łagodny wyraz twarzy pana.

— Idź poproś pani, na jednej nodze — Antek odbiegł.

— Stój! skocz po drodze do Rybkowskiego, niech wysyła fornalki w pole, i ogrodnik niech tu co żywo przychodzi. — Antek znów pobiegł.

— A zamknij po drodze psiarnię.

Jeszcze dawał rozkazy, gdy drzwi od ganku się otwarły i weszła niska, pochylona staruszka. Słodki miała wyraz twarz jej pomarszczona, a z zagasłych bladoniebieskich oczu bił dla dobrze patrzącego jakiś ogień, który z dawna gorzał wewnątrz, a wytleć nie mógł. Ubraną była w jasnych letnich szerokich sukniach —, weszła cicho na palcach i rzekła nieśmiało:

— Panie Michale, Antosia prosi, czyby nie mogła dzisiaj przejechać się do miasteczka.... chciałaby sobie kupić na szlafroczek...

Prawie dech zaparła to mówiąc, pan Michał się nasrożył.

— Kiedy to jmość zawsze z instancyami, czy to Antosia niema dość tych szlafroczków, po co te stroje? a zresztą gdzie dzisiaj konie dać, konie pracują.

— To też wieczorem śmiałabym prosić...

— A cóżto, czy koń wieczór nie potrzebuje spoczynku?

— Panie Michale, przecież Antosia i ja jak możemy pracujemy, a nawet....

— Cóż... nawet?... jak się jmości podoba, ja mam dość służby co mnie wyręczy... — sapnął pan Michał, bokiem się spojrzawszy, ale się nagle zmienił, bo zobaczył u staruszki wielką plamę czerwoną na licu, rumieniec upokorzenia godności. Rumieniec ten wypchnął jej i łzę z oka, i zawibrował głosem, którym powoli teraz odrzekła:

— Służby? toć przecie, panie Michale, jesteśmy rodzeństwem, tobie Bóg dał majątek, mnie go odebrał, nie żebrzę u ciebie, pracujemy ja i moje dziecko, które najpiękniejsze swe lata młodości poterać musi na twej

---

*) Obacz „Konkury z Nudów."

usłudze. Służbą jest ten obowiązek dla mnie, co czuję cały jego ciężar, ale tobie nie wolno z pogardą zaliczać nas do twojej służby?

Wymówiwszy to, po cichu, jak weszła, odeszła.

Któż był tą jmością, kto panem Michałem? Jmością ową była siostra stryjeczna pana Michała, wdowa po zamożnym niegdyś obywatelu, który majątek oddał w pamiętnej dla nas epoce, z tym tylko żalem, że nie mógł oddać swej osoby będąc kaleką, straciwszy nogę w kampaniach Napoleońskich. Umierając zostawił tylko poczciwe imie biednej wdowie i młodziutkiej córce, myśląc, że Bóg i dobrzy ludzie nie opuszczą dwojga sierót. Żona jego pani Sternicka długo tułała się po świecie, niechcąc nikomu być ciężarem, długo żyła z pracy rąk swoich i przemysłu; — więc przeniosłszy się do miasta, żyła z dziennego zarobku, a gdy wzrok zaczął niedopisywać, przedawała w małym sklepiku zapałki, bułki i wiktuały—lecz i tu wkrótce kapitaliku i zdrowia zabrakło. Wtedy obejrzeć się musiała za innym ratunkiem; przypomniawszy zaś sobie o bliskim krewnym a zamożnym panu Michale, wybrała się do niego.

Zamożny krewny, do którego się udać trzeba z prośbą, jest po większej części ową brzytwą, ktorą tonący chwyta czując straszną śmierć, ściskającą go za gardło. Pani Sternicka całe życie swoje nie miała potrzeby prosić drugich; dotychczas zawsze mając mały kawałek chleba ale swój, dziś dopiero zadrżała, wyczerpawszy wszystko, z rozpaczą spojrzawszy na ostatni szmat sukni, którego się pozbyć trzeba było dla ochronienia się od głodu.

Wy bogacze, wy ludzie, których ojcowie czy los obsypali bogactwy, z któremi nie wiecie co robić, czy widzieliście wy kiedy na ulicy tę twarz bladą, z zapadłemi oczyma, z głębi których ciągle jakby łza na wierzch się wywijała, ten chód powolny jakby zamyślony, a w rzeczy nie wiedzący sam o sobie, nie znający celu, idący tylko naprzód, aby dalej, aby dalej, jak gdyby tam gdzieś przecie odkrył się kawałek nieba nadziei, odrobina uśmiechu. Wy tylko czasem czytacie obraz nędzy z jaskrawych romansów, więc nie tyle wierzycie, więc nie przypuszczacie że wtedy, gdyście chorzy na niestrawność, niedaleko od was matka z drobnemi dziećmi szukała chleba od trzech dni napróżno!

Nędza, niewiem czy to choroba społeczeństwa, czy to owo złe konieczne, które Opatrzność rozsiewa w około dla przykładu, dla hartu, dla sprawienia cierpień cielesnych, tym końcem, aby z nich wywiązała się wyższość ducha, owa siła, co łańcuchem przykuta do jednej piędzi ziemi, wszystkiemi ogniwami jednak rwie się w niebiosa. Nędzę przeklinają ludzie biedni; — wielu żyje w niej wiecznie, zrasta się z nią, nosząc ją w swojem łonie jak ów niczem niewypalony trąd, wielu znów podźwiga się z niej gieniuszem, zasługą, losem — i o tych mi nie mówić, bo oni raz zbogaceni oddzielają się prawie zawsze od swoich dawnych współbraci, bojąc się ich jak czartowskiego wspomnienia. Lecz o tych mówić trzeba, o tych państwa i pojedyńczy myśleć powinni, którzy z generacyi w generacyą przechodzą, życiem plemię ową chorobliwą ciągłą nędzę, której pasmo przecina tylko jedna śmierć. W większych miastach stanowią oni kolonie nieszczęśliwych, zarobek ich tak lichy, że równa się zarobkowi powstałemu z żebraniny, to jest, że im każe marznąć, głodzić się i nieustannie chorować. Zapewne, że tylko dobre instytucye wykorzenić są w stanie radykalnie proletaryat, aleź nie spuszczajmy się tyle na instytucye, słuchajmy więcej głosu wrodzonego serca, i słów pisma: Kochaj bliźniego!

Bogacze! weźcie każdy kilka istot na swój majątek, nie wchodzę w to czy dacie przytułek kalekom, czy dacie popchnięcie w świat zdrowym, w których drga iskra boska jakichkolwiek zdolności — z tych kilku zrobicie sobie całą tęczę promieni łask boskich, któremi oświecona głowa wasza już z większą ochotą i szczęściem patrzeć będzie w nużące nieraz dni żywota.

Pani Sternicka przeczuciem, które u wszystkich nieszczęśliwych wydoskonalone, odgadła przykrość udania się do bogatego krewnego. Nie słyszała nic wprawdzie nigdy o panu Michale, ani źle, ani dobrze, tyle tylko, że był panem jak to mówią całą gębą. Lecz tego się właśnie bojąc, długo się wahała, długo—wyszukując jakiegoś niespodzianego ratunku, dla siebie i swej 15letniej Antosi, którą kochała nad wszystko.

— O! tak zmarnieć — mówiła do siebie — dziecięciu w chwili, kiedy najwięcej potrzebuje świata, o nie, na to nie pozwolę, rzucę się Michałowi do nóg, toć on, spojrzawszy na mnie staruszkę, i na moją dziecinę, nieodmówi przytułku. — Pokrzepiona, modlitwą gorącą umocniona, przybyła do dworcu pana Michała.

Był to prześliczny dzień majowy, dzień, w którym się cała przyroda śmieje, każdy listek drży młodziutkiem szczęściem, każdy kwiatek wywdzięcza rozkoszną wonią za rozkosz życia, której doznaje. We dworze pana Michała ruch od świtu, ruch, krzyki, wrzawa, poprzedzającc zwykle jakieś niezwykłe zdarzenie. Tem niezwykłem zdarzeniem były coroczne imieniny pana Michała. W dniu tym nie było w okolicy panny służącej, któraby nie dostała bury od śliczniutkiej swej panienki; nie było fornala, któryby w kark niedostał od rozsierdzonego, a ważnością pokazania się z pięknym zaprzęgiem przejętego pana — słowem lament między służbą, krzątanie się między państwem powszechne. Cóż dopiero w samym domu państwa Michałów. Pan Michał lubił nadewszystko *porządek*, więc kiedy wstał rano *porządnie* chrząknął, potem *porządnie* się przeżegnał, *porządnie* umył i *porządnie* zjadł; czeladź u niego musiała pracować *porządnie*, a kiedy nie pracowała, dostawała *nauczki porządne*. Kiedy więc w dzień powszedni taki porządek panował, cóż tu mówić o dniu uroczystym, w którym zjeżdżających się sąsiadów uraczyć, a troszeczkę i olśnić wypadało?

Pani Michałowa lubiła również w swoim rodzaju porządek, a chociaż mniej krzyczała jak z usposobienia gadatliwy pan Michał, to jednak utresowana służba wypełniała rozkazy jej równie porządnie.

Otóż w ten dzień majowy pan Michał mniej porządnie dojadł, mniej dospał, tak ciągle biegał i urzadzał. Pani Michałowa milcząco przechadzała się po salonach, ręką tylko wskazując robotę. Szło wszystko jak najlepiej, aż w tem pokazuje się, że jedna waza marmurowa, mająca zdobić jednę z kolumn stojących po rogach salonu, prysnął na dwoje. Pierwsza pani Michałowa ujrzawszy to, w niemej zgrozie skinęła na męża, wskazując mu wazę. Pan Michał struchlał na miejscu, lecz nagle wielkim głosem krzyknął:

— Hej! Jan! Maciej! Wojciech! — Przybiegli służący.

— Łajdaki, a to co?

Poczęła się inkwizycya, z trochę hiszpańskim nawet. zakrojem, z tą tylko różnicą, że ciągniono nie na tortury, lecz za uszy. I w tym to momencie niesłychanego tumultu, krzyku i lamentu zjawia się przed gankiem dworu na lichym jednokonnym wózku biedna pani Sternicka z córką.

Czyż mogła wybrać gorszą chwilę? Trafić w humor panów, wszak to od wieków było sztuką dworaków, tak zwanem *dworactwem*, czyli niższą dyplomacyą; kto

umiał zręcznie pukać, ten nie jeździł nigdy na pstrym koniu; lecz na pozłocistym bachmacie. Lecz trafić wtedy, kiedy się satrapa gniewa, irytuje, jestto narazić siebie na najszkaradniejsze myśli zwątpienia o dobroci serca ludzkiego, o szlachetności itp. sentymentach. Pani Sternicka z temi szczegółami bynajmniej nie była obeznaną, w zaufaniu jak do brata, chociaż z drżeniem szlachetnej duszy biednego człowieka, zsiadła z wózka i wprost przez kilka pokoi posunęła do miejsca, zkąd ją żwawe głosy dochodziły. Wszedłszy, zaraz na wstępie tknął ją trochę nieprzyjemnie widok, który się jej przedstawił, bo właśnie pan Michał dokumentnie dowodził Maciejowi, że *to on* stłuc musiał wazę; — lecz, czekając nim się uciszy, stała chwilkę spokojnie z tulącą się do niej dziewczynną. Pan Michał też nagle obejrzawszy się, wcale niezachęcająco spytał:

— A pani co?

Pani Sternicka otwarła ramiona.

— Bracie...

— Co, co?! — wrzasnął cały w rumieńcach pan Michał.

— Bracie, to ja, Sternicka, nie poznajesz mnie? — i posunęła krokiem ku niemu.

— Kłamstwo, co to znaczy?... Łajdaki wychodzić!

Służba galopem wybiegła, pan Michał bliżej postąpił, pani Michałowa wlepiła dziwnie oczy w obie kobiety.

— Więc cóż chcesz pani nareszcie?

— Pani, — odparła ze łzami zapytana — nie siostra? wprawdziem wyszarzano ubrana, ależ przecie ojcowie nasi byli sobie rodzonymi, czyż się mnie wstydzisz?

— Nie, nie, siostro — pan Michał blady patrzał na żonę — ale czemuś taka biedna? — zakończył naiwnie— tu u mnie niema miejsca, dziś zwłaszcza, kiedy tyle osób... cóż żono, jakże myślisz?

— Niewiem — odrzekła lakonicznie.

— Niepragnę niczego — mówiła pani Sternicka — tylko małego kąta dla mnie i mego biedngo dziewczęcia, trochę lichej strawy, a za to odpłacimy ci, panie bracie, serdeczną pracą.

— Dobrzebyto... ale... ja nie od siebie zależę... to trudno...

— A więc każesz mi żebrać dalej?... dobrze, pójdziemy córko, może znajdziemy litościwszych obcych od najbliższych krewnych.

To mówiąc, wzięła za rękę córkę i zabierała się do wyjścia. W tem ozwał się krótki, oschły, ale dobitny głos. Był to głos pani Michałowej.

— Mężu, ja myślę, żeby te panie zostały, przecież kąt się jaki znajdzie i stósowne zatrudnienie.

— O dzięki ci pani! — wykrzyknęła z radością Sternicka, Bóg widzi że się wam naprzykrzam dla mojego dziecka tylko, o moje stare kości nie troszczyłabym się wcale.

— Tak powiadasz żono, a więc dobrze pani siostro zostajesz u nas, tylko niech świat niewie o naszem zajściu, o niczem, rozumisz? będziesz u mnie gospodarować, nazywasz się Sternicka, *nic więcej*, rozumiesz? — i poskoczył do niej teraz jakby ożywiony i ścisnął jej rękę. — Tu za stodołą jest mały folwark, tam będziesz miała wygodną izbę i wszelkie wygody, a teraz....

— Jaśnie panie, — krzyknął jeden z lokai — już widać z za góry karetę.

— Spiesz się Sternicka, widzisz, ja mam dzisiaj gości.

Prawie wypchnął ją za drzwi, potem, przyskoczywszy do żony, porwał jej rękę gorąco całując:

— Dziękuję ci droga żonusiu, żeś mnie wybawiła z kłopotu, bo też to i diabli przynieśli... no nie gniewasz się?

— Hm — odkaszlnęła pani Michałowa — nigdyś mi nie mówił, że masz *tak biedną familią!*

Pan Michał się zarumienił.

To było pierwsze przyjęcie krewnej. Potem, potem, kiedy to dni za dniami upływały, wyznaczono robotę Sternickiej osobno, i Antosi osobno. Matka musiała zarządzać spiżarnią, wydawać rano dla stołu pańskiego i dla czeladzi, rachować się z kucharzem, rachować z szafarką, doglądać w kuchni gotowania i pieczywa, co jej zajmowało dzień cały od 5tej rano do 10 wieczór. Antosia miała dozór nad bielizną i garderobą pani, nad czem również wytężać musiała siły, a mianowicie oczy. Nie to jednak było bolesne, ani to, że nigdy pan Michał nie prosił iżby sobie ulżyły; że nie przypomniał sobie obowiązków krewnego, a przynajmniej serca ludzkiego; lecz to boleśnie targało duszę matki, że widziała jedynaczkę swoją wiecznie schyloną nad igłą, bez żadnej jakiejbądź lepszej przyszłości, jakiejbądź rozrywki. Antosia znowu chciałaby robić za siebie i za matkę, chciałaby starowinie swojej dać odetchnąć trochę świeżem powietrzem, nie pozwolić się piec przy piekielnym ogniu w kuchni, lub schylać się przy robocie, lub drżącą ręką dźwigać ciężarów. Ta wzajemna chęć ulżenia sobie wyciskała im często gorące łzy, i to zwykle wtedy, kiedy Antosia, udając wesołą i zadowoloną, pragnęła matkę w czem wyręczyć, i siliła się wesoło uśmiechnąć.

O! matka uśmiech ten zawsze rozumiała, odgadła miłującą duszę dziecka, radą poświęcić życie dla niej — i wtedy z wielkiego wzruszenia padały sobie w objęcia, długo tuląc się do siebie, długo cichem łkaniem rozrywając piersi. Gdyby w takiej chwili pan Michał je zobaczył — możeby zmiękł, możeby się zawstydził; ale pan Michał wtedy właśnie lub gazetę czytał porządnie, lub prawił o przyszłości kraju, opartej jedynie na porządku.

Powoli przyzwyczaiły się obie do swojej doli, o ile przyzwyczaić się można do ciągłych bolów—powiedzieć potrzebaby raczej, że cokolwiek stępiały, to jest zanieczuły na przykrości codziennego życia. Niedziela jedna była dla matki i córki jedynym prawdziwym dniem święta i odpoczynku; obie z przepełnionem sercem biegły wtedy do kościoła i długich kilka godzin rozmawiały z Bogiem — a rozmowa serca ludzkiego z Panem, to rozmowa, której ludzie nigdy nie zgłębią, nigdy się nie dowiedzą, którą tylko najwyższa Istność w jej drobniutkich, a jednak pełnych znaczenia momentach pochwycić zdolna, i z nich ułożyć sąd na człowieka, sąd surowy, zasłużony... litujący się... łagodny.

Tych dwóch kobiet rozmowa z Bogiem, była jakby cichutki żal smutno brzęczącej arfy, której struny anioł ponaciągał, a której ludzie rozerwali, — był to płacz, płacz niemy skarżący się cokolwiek na ciągły stan cierpienia, lecz pełen rezygnacyi, że tak być musi. Wracając z kościoła, zawsze z nadzieją lepszej przyszłości myślały o jutrze; po południu zaś tegoż dnia matka zasiadała w poręczowem starem krześle, czytała książkę nabożną, porozmawiała z ukochaną swą jedynaczką i zasypiała na kilka godzin, zawsze błogo o czemś śniąc, bo kiedy się obudziła, to już prawie wesoły uśmiech widoczny był na jej twarzy. Antosia zaś z gorączkową skwapliwością, z gorączkowym pośpiechem wydobywała jaką książkę, którą umiała wymodlić od córki pp. Michałów i czytała. Czytała z tem pragnieniem, które pali człowieka szukającego napoju od dwóch dni w piaszczystej pustyni; z poezyą naprzykład Mickiewicza w ręku dopiero ożywiała się, zaczerpywała nowego życia, które gdy matka znajdywała zawsze wyłącznie w modlitwie, ona aż po tym młodocianym szczeblu, po szczeblu peezyi doń dochodziła.

To co czytała, rozumiała — bo cierpienia, jakich w krótkiem życiu doznała, wyrobiły w niej przeczucie innych światów, innych ludzi, a te przeczucia wiązały się z głęboką refleksyą. Kiedy więc w niedzielę czytać mogła i przytem oddawać się swoim myślom, kiedy widziała mateczkę swoją błogo uspioną, to wtedy żal tylko rozpierał jej piersi, że jutro ze świtem skończy się to szczęście, a zacznie się nużąca, niemiła praca. Za świąteczny dzień jednak nie mieniałaby się z nikim, ani nawet z córką państwa Michałów panną Wandą, otoczoną bogactwem, pieszczotami i rojem bawiącej ją młodzieży.

Pani Sternicka rzadko korzystała z różowych chwil pana Michała, chociaż nieraz gwałtowna była tego potrzeba; boleśnie jej było, że Antosi nie mogła sprawić ani jednego stroiku, ani jednej mogącej ją ucieszyć drobnostki. Gdy już jednak uciułała sobie małą sumkę, cieszyła się jak dziecko, że swą jedynaczkę ustroi w to, w czem jej będzie do twarzy, w czem się wszystkim podobać będzie musiała. Potrzeba było jechać do miasteczka o milę, a do tego potrzeba było koni; — znając jednak brata, długo się wahała, aż gdy już nie chodziło o opuszczenie przyjemności, lecz o rzeczywistą potrzebę, wybrała się do niego z prośbą o pozwolenie koni. Widzieliśmy skutek tej prośby, pan Michał zbył ją szorstko, a pani Sternicka wyszła ze łzami w oczach.

(C. d. n.).

Wspomnienie o Antonim Góreckim.

Świeża śmierć Antoniego Góreckiego, tego najstarszego tułacza i pisarza, skłania nas do napisania kilku słów o jego żywocie i stanowisku, jakie w literaturze zajmował.

Antoni Górecki urodził się r. 1787. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, wszedł w służbę wojskową, odbył kampanią 1812, został pułkownikiem i otrzymał krzyż legii honorowej. W r. 1816, dla poratowania na wojaczce nadwątlonego zdrowia, odbył podróż do Włoch. Po długiem tułactwie umarł nareszcie w 74 roku życia, w Paryżu dnia 20 września.

Jako żołnierz odznaczał się Górecki męztwem i wytrwałością, a mając w duszę swą tchnięty ogień bożej poezyi, na polu bitwy używał jej do czynu, — i wtedy był najwyższym poetą, bo poetą czynu.

Lecz i pieśnią, i słowem Górecki poezyę swoją rozlewał na świat. Oceniając należycie jego stanowisko, wypada nam naznaczyć mu je na czas przejścia literatury ślepo-naśladowniczo francuskiej do rozwijającej się wówczas, teraz zaś rozwiniętej i ustalonej. Doświadczeniem życia wyćwiczony, i w ogniu, że tak powiem, wojennym wypróbowany, nie mógł Górecki w poezyi zająć stanowiska abstrakcyjnej fantazyi ani sentymentalności. Prawda i rzeczywistość życia zanadto silnie przemówiła do jego duszy,ażeby ta zdolną była nasycić się pokarmami egzaltacyi, bujając po nadziemskich krainach. Dla tego też, względnie do tej rzeczywistości życia, i względnie od bogatej w dary od Boga duszy Góreckiego najwłaściwszym rodzajem poezyi, najwłaściwszą formą, w której mógł cały swój świat wewnętrzny oddać — była: bajka.

K. W. Wójcicki powiada o nim, że: „najwięcej dał się poznać z bajek wybornych, ale bajki jego wybitnie się różnią od wszelkich innych. Są to raczej małe satyry, które śmieszności współczesne zaraz chwytały.“

Oprócz jędrności i mocy nieskażonego języka, w bajkach tych napotykamy dziwnie wesoły dowcip, oryginalność pomysłów, i prawdę wypowiedzianą bez ogródki. W ścisłem znaczeniu tego słowa, dla tejże przyczyny, którąśmy tu przytoczyli, Górecki poezyi nie tworzył. W każdym jego wierszu, nie tyle uczucie, ile rozum służy za podstawę. Większego też poematu niezostawił Górecki żadnego, w drobnych zaś jego tu i owdzie rozrzuconych wierszach, choć im gorąca, mianowicie religijnego, odmówić nie możem - dostrzegamy wszędzie więcej zimnej rozwagi i dowcipu, aniżeli poezyi.

Przytoczymy tu na przykład jeden piękny i pełen myśli wierszyk, a z niego wyciągnąć będzie można potwierdzenie tego wszystkiego, cośmy dotąd o Góreckim powiedzieli:

Śmieją się ze mnie.

Śmieją się ze mnie, że byłem w kościele,
Żem *Ciebie* wielbił nieśmiertelny *Boże!* —
Stwórzcie świat jeden, jak On stworzył wiele,
To ja i dla was hołd zdziwienia złożę.
Lecz po cóż szydzić! czemu ja nie szydzę?
Do ziemskich bożków ciśniecie się progu,
Ja was tam zgiętych jak spodlonych widzę...
Ja o nic memu nie przykrzę się Bogu!
Wiem, że me szczęście w mojej własnej woli,
Iż żaden z ludzi zbawić mię nie zdoła,
A gdy wart będę, choć w najlichszej doli,
On Sam mię znajdzie, on Sam mię zawoła.
Lecz gdy rok każdy świetlejszym mię czyni,
Gdy coraz nowym zadziwiam się cudem,
Nie mogę wstrzymać, biegnę do świątyni,
„Jakżeś Ty wielki Boże!“ śpiewam z ludem.

Uczucie wiary, na którego tle cały ten wiersz osnutym został, przewodniczy prawie we wszystkich wierszach, nie w formie Bajek napisanych. Kilka pieśni narodowo-pobożnych zawdzięczamy także temu żołnierzowi-poecie, jak go A. Mickiewicz w swych odczytach literatury słowiańskiej nazywa.

Dowcip i wesołość, te dwa najistotniejsze przymioty pism Góreckiego, nie opuszczały go ani w najpóźniejszych latach.

Przypominam tu sobie przed parą laty napisany czworowiersz przez niego, szczególnym odznaczający się dowcipem. Górecki wtedy był chory. Czytano mu dla rozrywki mowę Mierosławskiego, pełną niezrozumiałych bombastów i fajerwerków, i odpowiedź na nią *Klaczki*, nie mniej bogatą w podobne utrudzające zwroty. Górecki, po wysłuchaniu cierpliwem tych karykatur języka, kazał sobie podać papier i taki czworowiersz napisał:

Listem z piekła donoszą, że w smole nie smażą,
Inne męki znaleźli dla duszy biedaczki:
Od początku do końca ciągle czytać każą
Mowę Mierosławskiego i odpowiedź Klaczki.

W domowem pożyciu Górecki odznaczał się łagodnością i miłością bliźniego. Tam, daleko od swej ojczyzny, poprzyciągał ku sobie wszystkich braci jednejże doli, i sercem swojem łagodził im, ile mógł, los nie dający się podobno niczem zupełnie złagodzić.

Śmierć jego przejęła też wszystkich wielkim żalem. Jak korespondent *(B)* do *Czasu* opisuje, na pogrzeb jego zebrała się nieposlednia drużyna. A, ponieważ tenże szanowny korespondent służyć może jako najlepszy świadek całej uroczystości, więc też opis jego przytaczamy tu w całości:

„Na dwa znaczące wymowne oddziały podzielić można onedgajsze zgromadzenie. Z jednej strony towarzysze zmarłego z różnych epok jego życia. Z drugiej młodzież tylko co dorosła, osobiście śp. Góreckiego nie znająca, a jednak wspólnością serdeczną ze starszymi związana. Na czele orszaku pogrzebowego stanął syn zmarłego, artysta malarz, już chlubnie znany, z małżonką córką nieśmiertelnego Mickiewicza. Oboje zalani łzami, ale nie podobna ażeby nie czuli pociechy, bo ostatnie lata życia syn ojcu osłodził. Bo ojciec syna tak często, tak serdecznie błogosławił, bo synowę tak ukochał i tak z uczuciem synowskiem jednoczył. Takby zawsze powinno było być w porządku naturalnym, lecz niestety nikt lepiej jak oddaleni nie wie, jak rzadkie są podobne położenia, dla tego też je z radością i ulżeniem zaciągnąć do kroniki należy, życząc wszystkim synom i córom polskim podobnych rodzicielskich błogosławieństw.

W kaplicy wytwornego domu zdrowia municypalnego przy ulicy przedmieścia ś. Dyonizyusza, odbyło się żałobne nabożeństwo, po którem ciało eskortowane przez oddział piechoty francuskiej, zniesiono do podróżnego karawanu dla przewiezienia do Montmorency, gdzie śp. Górecki życzył być pochowanym.

Całe prawie żałobne zgromadzenie udało się koleją żelazną do przybytku słusznie zakątkiem słynności polskich nazwanego.

U podwoi kościoła parafialnego w Montmorency przyjął ciało proboszcz z miejscowem duchowieństwem. Mer, pułkownik Marnier, z oddziałami wojskowej załogi oddał honory wojskowe, a katafalk otoczony został przez młodzież szkół polskich, przez starszych nieco młodzieńców w strojach narodowych. Reprezentanci siły krajowej i przyszła nadzieja Polski złączyli się tą razą. Mundurki uczniów szkoły Batignolskiej militarną miały postać. Po odśpiewaniu psalmów orszak wyruszył na cmentarz o 4 najmniej wiorsty za miastem położony. Młodzież nie dała się odwieść od niewątpliwego znoju, zaniosła aż do grobu trumnę na barkach. Tu pułkownik Marnier kilka sympatycznych słów przemówił nad grobem po francusku, a po nim zabrał głos po polsku p. Franciszek Grzymała, od lat młodzieńczych przyjaciel, towarzysz i często współpracownik zmarłego.

Wymownie i serdecznie przemawiał mówca, bo z serca płynęły słowa jego. Trafne i pełne prawdy dawał ziomkom rady i nauki, ile razy część patetyczną uznał za stósowne przeplatać wyrozumowanemi ustępami. Zbyt rzadko miewając sposobność spotykania licznie zgromadzonych rodaków, korzystał z pory p. Franciszek Grzymała, ażeby im na grobie weterana sprawy, mądrością nacechowane wypowiedzieć prawdy. Przedłużyło to nieco mowę, ale skrócić może niedolę. Bo aczkolwiek p. Franciszek Grzymała nic nowego nie odkrył, i z poglądu na przeszłość już słyszane nie raz ciągnął pewniki, są jednak prawdy, które dosyć powtarzanemi być nie mogą, bo gdyby w końcu słowa w czyn się zamieniły, zawody w powodzenie, smutki w radośćby urosły. Słuchano więc cierpliwie, pomimo grożącego deszczu, słów mówcy, a nie jedna łza lica skropiła, gdy zakończył wywód kilku zastósowanemi do okoliczności wyrazami. Śp. Górecki zwykł był na grobach zasłużonych lub przyjaciół wiązaną przemawiać mową, to też i p. Jedliński po panu Grzymale kilka strof rymowanych rzewnych, gorących, patryotycznych odczytał.

Ale porywającym i do głębi duszy sięgającym epizodem była pieśń „Boże coś Polskę“ zaintonowana przez młodzież, która grób wieńcem otoczyła. W jednej chwili, jakby iskrą elektryczną tknięte wszystkie serca bez różnicy wieku jednakiem ożywione zostały uczuciem, ze wszystkich piersi wyszedł potężny głos i ten pewnie doszedł do Tronu Przedwiecznego, bo był najszczerszą, a zatem najszczytniejszą modlitwą.

Z miejsca spoczynku tylu nieodżałowanych patryarchów, wieszczów, uczonych, wzniosła się modlitwa, do której początku należała młodzież, a w której ze skruchą i wzniesieniem brali udział wszyscy. Powróciliśmy do domów silniejsi niż pierwej, rzeźwiejsi niż dawniej. Na grobach pielgrzymów z wierną drużyną można się podobnych objawów bez zadziwienia doczekać.“

Wydał Górecki: 1) *Bajki, poezye nowe*, w 16ce, Paryż r. 1839. 2) *Wolny głos*, czyli nowy tomik poezyj, w 16ce, Paryż r. 1850. 3) *Siejba*, poezye w 16ce, Paryż 1857. 4) *Nowy Zbiorek*. Paryż 1858. 5) *Jeszcze tomik*, Paryż 1859. 6) *Bajki nowe*, Paryż 1860.

Mamy przed sobą odezwę Redaktora *Czytelni dla młodzieży*. W odezwie tej jest położony jakoby program całego kierunku pisma, jego potrzeby, jego zasad i jego chęci działania na przyszłość. Odezwa powiada: „Tylko ten naród w przyszłość swoją wierzyć może, który może napewne wierzyć i rachować na młodzież swoją... bo jaka dziś młodzież, tacy z niej jutro obywatele.“ Powiada dalej, że do opieki nad młodzieżą poczuwać się powinien naród, pismo zaś poświęcone młodzieży ma zadanie część tej opieki wypełniać. Że zaś system edukacyjny w każdej prawie prowincyi jest inny, a nie każdy z nich ma na celu rzeczywistą oświatę na gruncie narodowym, przeto pismo dla młodzieży potrzebnem jest, aby o ile to jest możliwem, wszystkie historyczno-narodowe braki uzupełniało. Dalej: „że pismo poświęcone młodzieży doroślejszej, aby mogło mieć wpływ na nią, powinno być jej organem, musi zamieszczać wiadomości i korespondencye zewsząd, gdziekolwiek jest młodzież polska, a to dla tego, że jeżeli życie młodzieży wcześnie a rzetelnie rozwijać się ma, musi ona mieć i głos swój publiczny.“ Jest to najtreściwsza treść tej odezwy. Redakcya w końcu wzywa światłą publiczność do udziału w tej mozolnej pracy radą, piórem i groszem, ze swojej zaś strony uczyniła polepszenia wszystkie możliwe, *jakie się w ciągu wydawnictwa pokazały*.

Z naszej strony dodajemy, że mianowicie ze względu tego, iż pismo to, dla odmienności w różnych prowincyach systemu edukacyjnego, ma czuwać nad kierunkiem oświaty na gruncie narodowym, mamy je za potrzebne i przy dopełnianiu zapowiedzianych warunków za pożyteczne.

Sądzilibyśmy tylko, o ile z poglądu dotychczasowego wydawnictwa tegoż pisma sądzić możemy, iżby należało więcej uwidocznić kierunek naukowy, a nawet ów kierunek czuwający, do czego umieszczanie wyłączne samych korespondencyj służyć nie może, — bylibyśmy również zdania, aby dla doroślejszej młodzieży pisała starsza młodzież, jako ta, która z łona jej świeżo wyszedłszy, najlepiej jej potrzeby rozumie, a ma już pewne umysłowe ukończenie. Kończąc te nasze uwagi, musimy serdecznie życzyć powodzenia temu pismu, do czego przyczynić się raczą najskuteczniej Szanowne Czytelniczki chociażby tylko swoim wpływem.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.